

# Jürgen Landwehr

---

## Poststrukturalistyczne wyzwanie : próba "dekonstrukcji"

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 18-38

---

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Jürgen Landwehr*

## **Poststrukturalistyczne wyzwanie. Próba „dekonstrukcji”**

*Stat rosa pristina nomine, nomina nuda tenemus.*

*(Niegdyś róża jest już tylko imieniem, zostały nam  
już tylko nagie nazwy.)*

**Umberto Eco**

### **Postludium jako preludium**

Kogo znam z imienia, tego jestem panem.  
„Poststrukturalizm”. Tyle że nie jest to imię, lecz określenie pewnej relacji: wszystkiego tego, co przychodzi „po strukturalizmie”. (Czy strukturalizm kiedykolwiek istniał, to dziś już obojętne. Mamy nazwę i dosyć.) Określenia „poststrukturalizm” można spokojnie

---

Przypis do przypisów: Jako że powyższe jest owocem pewnego okresu zajmowania się „poststrukturalizmem” oraz co najmniej w warstwie słówek i słów składa się niemal wyłącznie z cytatów, należałoby się w tym miejscu spodziewać setki/setek przypisów. Tymczasem odsyłacze pojawiają się tylko tam, gdzie mamy do czynienia ze sprawą szczególnie ryzykowną lub z przypadkiem kradzieży. — Cudzy-słowy w tekście zaznaczają cytaty z innych tekstów bądź z tego, „co «się» po prostu tak mówi”.

używać, ponieważ z pewnością nie musi odpowiadać mu żadna „substancja”, żadna (spójna) szkoła, tendencja czy moda, żadna tworząca paradygmat nauka lub filozofia. Odmawia mu się referencji, zatem funkcjonować pod tą firmą może cała gromada piszących (także i zwłaszcza wtedy, gdy głoszą „nieczytelność” pisma<sup>1</sup>) i całe mnóstwo stylistyk (które nie są owym piszącym właściwe) oraz pism (najbardziej nawet nieczytelnych); nie-filozofii, uprawianych w filozoficznych instytutach przez (nie-) filozofów; dyscyplin naukowych oraz naukowców reprezentujących sfery ducha, którym żaden duch już nie przyświeca.<sup>2</sup> Samo pytanie, co zatem — albo, gorzej: co „właściwie” — zalicza się do tej dziedziny, jest grzechem przeciwko poststrukturalistycznemu nie-duchowi. Jedyne dotychczas znak szczególnie: nie ma, nie może być nic określonego. „Jestem inny”. „Poststrukturalizm” — właściwy prefiks na właściwym miejscu. Pasuje świetnie do „postmoderny” i zamieszkującego ją bliżej nieznanego „ducha czasów”, którego — awansem, rzecz jasna — dałoby się od biedy określić tylko przez świadomość, iż mamy już wszystko za sobą. Dwóch rzeczy wszelako nie da się uniknąć: życia i robienia czegoś. Ponieważ mamy już wszystko za sobą łącznie z moderną, ponieważ od dawna już nie chodzi o nas (jako ludzi, podmioty lub zgoła indywidua — cóż za zuchwałe uroszczenie!) i ponieważ wszystko zostało już powiedziane, pozostaje nam tylko cytaty, cudze słowo (w „gruncie rzeczy” było tak zawsze, nawet kiedy zdawało nam się jeszcze, że nadal sami mówimy), i to nie jak należy, po porządku, ewentualnie wręcz „naukowo”, tylko „dziko, bez opamiętania, delirycznie”: *anything goes*, postludium. Albowiem wszelki porządek jest jeno wolą wiedzy, a przeto wolą mocy, a przeto jest od złego.<sup>3</sup>

---

<sup>1</sup> Por. Paul de Man, *Allegorien des Lesens*, Frankfurt a/M, 1988 zvl. s. 111; Jonathan Culler, *Dekonstruktion. Derrida und die poststrukturalistische Literaturtheorie*, Reinbek 1988, zvl. s. 292 i następane.

<sup>2</sup> Por. tytuł wydanego przez Friedricha A. Kittlera zbioru *Austreibung des Geistes aus den Geisteswissenschaften. Programm des Poststrukturalismus*, Paderborn 1988.

<sup>3</sup> Por. Michel Foucault, *Die Ordnung des Diskurses*, Frankfurt a/M 1970, zvl. s. 11; Jacques Derrida, *Guter Wille zur Macht I und II*, w: *Text und Interpretation*, red. P. Forget, München 1984, s. 56—58 i 62—77.

## Temat I

Nie my mówimy, ale nas mówi: „się” mówi<sup>4</sup>, albo też dyskursy czynią nas swymi podmiotami, subiektami w ścisłym sensie — swymi poddanymi. To, co może być powiedziane, nigdy nie jest tym, o co „naprawdę” chodzi, zawsze tylko czymś rozproszonym, zniekształconym. I to właśnie znaczy dla nas wszystko i jest nam wszystko jedno. Dawny inwentarz teologii, ontologii, filozofii, poezji staje się coraz bardziej „imaginacyjną biblioteką”, którą możemy dysponować, kombinować, przestawiać i która nie kryje w sobie sekretu własnej konieczności: projekty, strukturyzacje, systemy, które możemy już tylko obalać, właśnie „dekonstruować”, aby dotrzeć poza ich konstrukcje i zdumieć się, że ktoś kiedyś mógł w nie „wierzyć”. Już one były grami językowymi i znaczeniowymi, tyle że konstruktorzy i wierni nie umieli ich przejrzeć. Rozkosz przejrzania zastrzeżona jest dla nas; z tyłu nie ma nic. Albo też nieskończony, niepodważalny brak bytu i sensu, kompensowany wolą mocy.

Koniec z „onto-teo-teleologią”, z „metafizyką” w ogóle i z „metafizyką obecności”, z obłędem przekazywanej językowo „reprezentacji” w szczególności. Czas „zamknąć” całą erę filozofii, która chciała mierzyć się myślą z czymś takim jak „idee”, „logos”, „podmiot”, „sens” i „byt” oraz (rzekomo) umieszczała je w centrum swoich systemów. Zamiast tego na afiszach: nieobecność, brak, rozproszenie, pustka, bezpodmiotowe rządy dyskursów i zdecentrowane struktury.<sup>5</sup>

Wyzwanie rzucone naszej — najwyraźniej chronicznej — żądzy sensu odznacza się impetem i ciętością języka. Wyzwaniu odpowiada reakcja wyzwanego: światlejsi wśród wgardliwców wycofują się na stare „oświeceniowo-emancypacyjne” pozycje, ci zaś, którzy ufają, że i ta karawana przejdzie dalej i utknie w jakiejś pustyni, wahają się między bezsilną pogardą a podszytym strachem uśmiechem; z drugiej strony bezwzględne kapitulancie w dotrzymywaniu kroku, ba — w licytowaniu się prototypami i autorytetami. Nie są to przypad-

<sup>4</sup> Tak już u Freuda, za Freudem u Lacana. Por. Hermann Lang, *Die psychoanalytische Theorie Jacques Lacans*, w: *Die Psychologie des 20 Jahrhunderts*, t. 10, 1980, s. 717—727, tu s. 723.

<sup>5</sup> Akapit ten zbiera śmietankę z pism przede wszystkim Derridy; w sprawie poszczególnych „pojęć” por. następujące dalej opisy.

kowe reakcje. Gdzie bowiem nie ma już (lub być nie powinno) nic „pozytywnego”, żadnych „pozycji”<sup>6</sup>, możliwa zdaje się tylko ucieczka lub kapitulacja; zawodzi nawet magia imienia, o „poststrukturalizmie” nie da się mówić ani pisać. Można się tylko w to wdać albo uciec. Jedno i drugie jest reakcją lękową — z jednej strony strach przed wykluczeniem, odstaniem; z drugiej strony — strach przed wyzwaniem, którego nie rzucono nam bynajmniej mimochodem i na żarty. Pośrodku postmodernistycznej areny ducha czasów ziele przepaść.

### **Metaludium: po co i jak „o tym” pisać?**

Już same reakcje lękowe to dostateczny powód, by zajmować się „poststrukturalizmem”, pokładając wewnątrznie sprzeczną ufność w zniewalającej (dawniej) albo terapeutycznej (nowej) sile języka, „omawiania”. Ale istnieją też inne powody, także tutaj, w tym kontekście.

Po pierwsze: niezgodnie z programem, „poststrukturalizm” od dawna stał się faktem, czynnikiem napędzającym przemysł kulturalny; widmo (poststrukturalizmu) krąży sobie po Europie, zwłaszcza po Francji, nawiedza też gorliwie Stany Zjednoczone. Od dawna istnieją „przedstawiciele”, istnieją instytuty noszące jego barwy w herbie; od dawna stał się szkołą i paradygmatem (i jako taki sam nadaje się do cytowania), istnieją książki o nim, istnieje wybór pozycji wewnątrz albo na zewnątrz niego, istnieją wreszcie „pisma źródłowe”, „upadłe naśladownictwa”<sup>7</sup> oraz krytyka, istnieją autorytety. Tym samym „poststrukturalizm” stał się imieniem, a to, co w jego imieniu napisano, samo podlega dekonstrukcji.

Po drugie: dla tych, którzy interesują się językiem lub zajmują się nim naukowo, poststrukturalizm musi być wyzwaniem, skoro język, formy językowe są nie tylko jego przedmiotem, ale podstawą i punktem wyjścia. A to, co napisano poststrukturalistycznie o języku (a także piśmie i tekstach), ma konsekwencje dla „naszej” koncepcji języka, dla „naszego” posługiwania się językiem oraz inne jeszcze. Konsekwencje te — Freud świadkiem — nie są bynajmniej „niewinne”.

---

<sup>6</sup> Inaczej niż, a potem znów zgodnie z: J. Derrida, *Positionen*, Graz/Wien 1986.

<sup>7</sup> Culler, op. cit., s. 258.

Po trzecie: mimo wszelkich pisemnych, historycznych, a przeto uchwytnych śladów, jakie po sobie pozostawił, „poststrukturalizm” nie ma i nie chce być systemem ani porządkiem; jego pisma i autorzy z góry, programowo odnoszą się ironicznie do swych historyków. Dlatego nie będzie to „sprawozdanie ze stanu badań”. Sprawozdań takich od dawna nie brak — i to obszerniejszych, solidnie ugruntowanych.<sup>8</sup>

Inna możliwość, kopia, sałatka z cytatów i parafraz, „derridadaizm”<sup>9</sup> również nie wchodzi dla mnie w grę; w kontekście pojawią się natomiast pojęcia, które czynią poststrukturalizm czymś tak fascynująco-irytującym i charakterystycznym, wprowadzone przez narracyjne i wyjaśniające opisy — na przekór ewentualnym lękom. Znamcom i miłośnikom nie mam do powiedzenia nic nowego, nam, którzy „kroczy z boku”, chciałbym natomiast dostarczyć bodźca: do terapeutycznej dekonstrukcji. (*A propos* Ja autora: Kto mówi? — Ten tekst, a któżby inny?)

Na przekór poplecznikom, na złość zwolennikom próbuję, tj. tekst próbuje opisać poststrukturalizm przez po części systematyczne, w zamiśle czytelne określenie, co go „w gruncie rzeczy” porusza, co „poststrukturalizm” z tym robi, przynajmniej tam, gdzie zastyga w teksty i dokąd może go to zaprowadzić. Ja zaś, tekst, uważam się przy tym za dekonstrukcję.

Przystępuję do rzeczy tym spokojniej, że — programowo! — nie mogą mi się przytrafić żadne „błędy”, już choćby dlatego, że nie „ja” to mówię, ale właśnie ten tekst, w który wpisuje się (*sic!*) potem jeszcze coś „dyskursywnego” albo z którego „się” mówi; dlatego, że rzecz napisana, jako pewna konfiguracja tego, co aktualnie możliwe, jest tak czy inaczej obojętna; a wreszcie i przede wszystkim: jeżeli dekonstrukcja następuje w ogóle dopiero „przez powtórzenia, odstępstwa, zniekształcenia”, to (wg jednego z moich autorytetów, J. Cullera) w przypadku pism poststrukturalistycznych możliwa jest jedynie przez „naśladowanie, cytat, karykaturę, parodię”.<sup>10</sup> Oto mój program: wzorzec i przepis.

<sup>8</sup> Spośród niezliczonego już mnóstwa wymieńmy tylko dwa, w dodatku czytelne: Manfred Frank, *Was ist Neostrukturalismus*. Frankfurt a/M 1983; także: J. Culler op. cit.

<sup>9</sup> To dziś już bardzo rozpowszechnione hasło po raz pierwszy w: Geoffrey Hartman, *Sawing the Text. Literature, Derrida, Philosophy*, Baltimore 1981, s. 33; por. też: J. Culler, s. 28.

<sup>10</sup> J. Culler, op. cit., s. 258.

### Lei<sup>t</sup>/<sub>d</sub> — motiv

Od czego zacząć? Jeżeli — powtórzmy: programowo — nie może być nic, co byłoby pierwsze, nie może być początku ani źródła, i jeżeli to, co ma być opisane, nie ma mieć ani tworzyć systemu ani porządku, pozostaje — nawet mnie — tylko jedna droga, która sprawdzała się zawsze w obliczu nieporządku i oszołamiającego chaosu: opowiedzieć jakąś historię. A ściślej: przytoczyć za poprzednikami.<sup>11</sup>

Przytoczyć można „historię infanta”, małej istotki ludzkiej, która „nie umie mówić”, historię, którą opowiada (przytacza?) Jacques Lacan. Jeszcze przed przedwczesnymi narodzinami (fizjologicznymi) infant bierze udział w pewnych podziałach (podział jajeczka, podział listków, rozdzielenie błon i placenty); narodziny są wstrząsem, gwałtownym i bolesnym oddzieleniem się od chroniącego i żywiącego łona matki; wreszcie infant doświadcza utraty matczynej piersi — to rozstania, które zdają się wciąż ponawiać i zapisują się (!) w duszy infanta jako „*imago* poćwiartowanego ciała”. W wieku 6 miesięcy infant przeżywa jednak błogie, choć wysoce niebezpieczne doświadczenie: w „fazie lustra” infant widzi się w lustrze — i rozpoznaje, że jest c a ł o ś c i ą: akt poznawczy, który jest zarazem zapoznaniem lub błędnym rozpoznaniem. Wizerunek bowiem jest jedynie „imaginacyjny”, jest tylko iluzją idealnej jednolitości i całości Ja, ta bowiem, jako wizerunek, znajduje się przecież poza infantem i w dodatku jest w sensie ścisłym „opaczna”: narcystyczny stopień wyobcowania istoty. Stąd wiedzie droga — jeśli się jej nie opuści lub jeśli coś jej nie zagrozi — do właściwej wszystkim Narcyzom manii przeglądania się, do manii przeobrażania własnego Ja w obrazach wzorcowych — herosów, geniuszy, poetów — które są jedynie życzeniami, projekcjami miłości i nienawiści własnego Ja. Kocham cię, ponieważ dajesz mi moje lepsze, większe Ja (i za to cię zarazem nienawidzę). Rokowania: nerwica, paranoja, kanapa psychoanalitka, klinika. Ale ta lustrzana, „spekularna” relacja ma swój pierwowzór już w stosunku matki i dziecka, w diadzie. Infant pożąda matki — dla odtworzenia własnej całości i dla zaspokojenia swoich potrzeb. A matka kocha dziecko, pożąda go, ponieważ ono pożąda jej, i tak

<sup>11</sup> To swobodne, gdyż systematyzujące streszczenie kryptografów Lacana przeczytać można, jeszcze inaczej usystematyzowane, w: H. Lang, op. cit.

oboje pożądamy pożądaniami tego drugiego. I nie mogą tego pożądaniami zaspokoić, ponieważ obojgu brak rzeczy centralnej: fallusa. Potrzebna jest namiastka. Infant znajduje namiastkę odebranej mu matczynej piersi ssąc palec albo róg poduszki; a ponieważ nie umie wyrazić swoich potrzeb (potrzeby całości, integralności, pożywienia) „bezpośrednio” — krzyczy i praktycznie obiema tymi technikami stwarza „porządek symboliczny”, co czyni również matka, nie mogąc już uczynić infantu „całym”, lecz zanurzając go w „kąpieli języka”, która jest erzacem (*Er-Satz*).<sup>12</sup>

Tak więc narcystyczno-imaginacyjna pozorna jedność diady „matka i dziecko” przesłonięta zostaje porządkiem, nie należącym już do nich obojga i przekształcającym ich wzajemne pożądanie według swoich praw, praw porządku: podporządkowuje ich sobie, dokonuje „subwersji”. Rozsadza to tak czy inaczej „ramy imaginacyjnej dwoistości”<sup>13</sup>, diada zostaje zbawczo i nieodwołalnie rozbudowana do triady przez „porządek symboliczny” i jego przedstawiciela, „ojca”, „wielkiego Innego” (który jest trochę bardziej i gwałtowniej „inny” niż „mały inny” — matka). Lacan sytuuje funkcję ojca w płaszczyźnie języka; język to *nom du père*.

Tłumaczy to także subwersję pożądaniami przez język. Język, wszelkie językowe zaznaczanie — *verzeichnen* — to zawsze zaznaczanie błędne — *Ver-Zeichnen*, n a m i a s t k a (Ersatz) niespełnionego pożądaniami całości od początku n i e-danej i jednocześnie wyraz tego braku. Ale język z wielu powodów nie może być „właściwym” wyrazem tego braku. Po pierwsze, gdyby język miał być „pełną” namiastką, musiałby być używany i ukształtowany z pozycji właśnie tej całości, której nigdy nie było. Po drugie, musiałby podlegać logice własnego (ale co jest „własne” w sytuacji, gdy wszystko przydzielane jest z zewnątrz?) pożądaniami, a wreszcie nie mógłby być tylko znakiem, tylko *quid pro quo*, które tylko oznacza, ale nie reprezentuje w ścisłym sensie tego, o czym ma lub chce mówić. Tak jak palec albo róg poduszki nie są piersią matki, tak też słowa i zdania nie mogą być brakującą całością, a zatem nie mogą jej też „zastępować”. Z braku (właściwego) wyrazu język staje się wyrazem (nieodwołalnego) braku.

---

<sup>12</sup> Zapisując w ten sposób niem. słowo *Ersatz* (namiastka) autor zwraca uwagę na częstkę *Satz*, co znaczy m.in. „zdanie”, „sąd logiczny” (przyp. tłum.).

<sup>13</sup> H. Lang, op. cit., s. 720.



Ale ów „brak” — poruszamy się w polu psychoanalizy — ma jednak swoje miejsce. Jest to — raz jeszcze — to, czego (na początku) brak dziecku i matce, fallus, który staje się paradoksalnym symbolem, który symbolizuje sam siebie jako to, czego b r a k: *signifiant*, które oznacza „brak *signifiant*”.<sup>14</sup> Ta relacja (w podwójnym znaczeniu: po łacinie *relatio* znaczy wszak również „sprawozdanie, opowieść”) pozwala Lacanowi i jego naśladowcom wrócić do tożsamości, zrazu na pewno drażniącej, śmiesznej i przerażającej, tożsamości języka i fallusa. Fallus reprezentuje bowiem wówczas już nie tylko pierwiastek ojcowski, ale to czego nie dostaje w s z y s t k i m: oznacza brak jako taki.

Wszystkie sygnifikanty są nieodwołalnie zarażone tym brakiem i „spaczone”. Nawet jeżeli ów brak motywuje i napędza również ruch języka (oraz wszelkiej „symboliki”), to ruch ten nie może ani powetować braku, ani też reprezentować tego, co istnieje tylko jako „brak”. Toteż „właściwej” mowy być nie może, wszelkie mówienie jest niewłaściwe, nietrafne, metonimiczne (jak gdyby wyznaczone przez przesunięcie „palec — pierś matki — matka — całość”) albo metaforyczne (tak jak w metaforze „to, o co chodzi” n i e występuje, tylko — *tertium comparationis* — musi być dopiero odkryte lub wymyślone). Nieobecności i otchłanie.

### Ruchem raka

Symboliczny porządek, w jaki musi wstąpić już infant, aby móc przynajmniej coś (nie „siebie”, gdziez bowiem znaleźć pozaimaginacyjną jaźń?) wyartykułować, jest zawsze c u d z y m porządkiem, przede wszystkim porządkiem Wielkiego Innego, ojca, który jednakże tylko reprezentuje ów porządek, a bynajmniej go nie ustanawia. Tu zapewne można by przytoczyć — za kimś, kto przytaczał już wcześniej — drugą historię, tym razem już nie onto-, ale filogenetyczną, powołując się np. na Foucaulta i Derridę, którzy ją (za kimś) przytaczają. Albowiem ten porządek ma swoją historię, i to zarejestrowaną. Można by opowiedzieć historię jakichś niestadnych stworzeń, które „pewnego dnia” odkryły zakaz incestu, a przeto tabu i reguły (np. wymiany kobiet), a przeto kulturę, która

<sup>14</sup> Por. J. Lacan, w: H. Lang, op. cit., s. 721.

jest Innym wobec natury. Początek? Bynajmniej. Aby przeżyć, owe stworzenia musiały rozróżniać „od zawsze”: „jadalne—niejadalne, bezpieczne—niebezpieczne, męskie—żeńskie...” Na początku była *différance*<sup>15</sup> — rozróżnienie, „pra-pismo” — to zaś pociągnęło za sobą konsekwencje, tj. historię i historie.

Aby określić coś jako coś, trzeba to coś wyodrębnić, oddzielić, właśnie: wyróżnić. Ponieważ ja, tekst, też mam swoje braki, w charakterze cytatu:

To, co identyczne, można sobie wyobrazić tylko wtedy, gdy się je sobie wyobrazi w odróżnieniu od tego, co różne. Dopiero różnica pozwala temu, co identyczne, być sobą. Mówiąc ogólnie, nie można ustanowić czegoś samego, nie ustanawiając go i n a c z e j niż c o s i n n e g o. Ze względu na to, co inne, to samo jest tym, czym jest i ma być: samym sobą. (Descombes<sup>16</sup>, H. i. O.)

Coś jest zatem „samym sobą” nie dlatego, iżby jakaś metafizyczna instancja nadała mu „istotę”, ale dlatego, że różni się od wszystkiego innego. To różnienie się (różnica jako proces) wyobrażone jest w piśmie, stąd „pra-pismo”: litera alfabetu nie jest określona przez jakąś (swoją) substancję, ale wyłącznie przez różnice w stosunku do wszystkich innych liter: A jest nie-B, nie-C... „Gramatologia”<sup>17</sup>. Na tym właśnie polega „profilowanie dyferencyjne” i w tym miejscu warto odwołać się wraz z poststrukturalistami do przekazu de Saussure’a: język składa się wyłącznie z różnic. W systemie językowym (*langue*) „wartość” znaku określa tylko to, czym różni się on od wszystkich innych znaków: dźwiękowo, graficznie — a także semantycznie. Albowiem w odróżnieniu od błędnych przekazów de Saussure’a do poszczególnych sygnifikantów nie są „przyklejone” (ich) sygnifikaty, jak to mogłoby sugerować drzewko de Saussure’a<sup>18</sup>; kreska staje się szyną. Znaczenie jest samo efektem różnic, co można (nie)zgrabnie zademonstrować wyliczając mozolnie „cechy semantyczne”, a bynajmniej nie czymś ostatecznym albo stałym, jak tego dowodzą zmiany znaczenia, przewartościowania, a także próby

<sup>15</sup> „Pierwotny” tekst: J. Derrida, *Grammatologie*, Frankfurt a/M 1983, zvl. rozdz. 2, s. 99 i następane, i potem ciągle...

<sup>16</sup> Vincent Descombes, *Das Selbe und das Andere. 45 Jahre Philosophie in Frankreich 1933—1978*, Frankfurt a/M 1981, s. 51 (skądinąd przyjemna i pouczająca lektura, zwłaszcza jeśli chodzi o „prehistorię” poststrukturalizmu).

<sup>17</sup> Derrida, (zob. przyp. 5).

<sup>18</sup> Por. Ferdinand de Saussure, *Grundfragen der allgemeinen Sprachwissenschaft*, Berlin 1967, s. 78 oraz Jacques Lacan, *Das Drängen des Buchstaben im Unbewussten oder die Vernunft seit Freud*, w: tenże 1975, *Schriften II*, s. 15—55. Por. zvl. s. 16 i następane.

„definicji”. Wszak definicje (= odgraniczenia!) są tylko przytoczeniami ustaleń albo chęcią ich przeforsowania i muszą, jak wszystkie inne określenia znaczeń, nadal posługiwać się sygnifikantami, np. językowymi, gestykulacyjnymi, podmiotowo-reprezentującymi. „Referencja” i „znaczenie” to zawarte w dobrej wierze umowy, niezbędne, ponieważ w przeciwnym razie wszystko wymknęłoby nam się z rąk i pogrążyło w bezmiernych różnicach.

Wszystko staje się jeszcze bardziej płynne w mowie, przy zapisach (*parole*). Już nie pojedyncze sygnifikanty „mają” określoną wartość, lecz ich możliwe, arcy możliwe wartości są „syntagmatycznie”, określane (?) przez relacje, w jakie sygnifikanty wchodzi z otaczającymi je innymi sygnifikantami („*in praesentia*”), jak również, „paradygmatycznie”, przez relacje ze wszystkim innym, czego tam nie ma („*in absentia*”), nie mówiąc już o zawsze nieobecnych sygnifikatach oraz za każdym razem innych, a zatem zmieniających wartości kontekstach sytuacyjnych. Konstytutywne dla wartości, a przeto i dla znaczenia, są więc relacje, a to znaczy: przestrzenie dzielące, luki i — tu możemy spokojnie dokonywać dalszych przesunięć — dziury, nieobecności, braki, fallus. To, o co „właściwie” chodzi, jest zawsze nieobecne; sens „dryfuje”.

Mogłoby się wydawać, że pojedynczy element jest zawsze określony i daje się określać w ramach jednego systemu. Jednakże systemy nigdy nie są stałe, nigdy nie są zamknięte; struktury „igrają”<sup>19</sup>. Tu historia zaczyna robić się groźna. Różnienie się z zasady nie daje się lokalizować, także „w obrębie” systemu przyporządkowania są dowolne, bo wymienne, jak to „dobitnie” unaocznia ulubiona gra poststrukturalistyczna. Wystarczy, by kobiety odwróciły (!) hierarchię „męski/żeński”, a już cały, może nie piękny, ale „logiczny” męski porządek wartości wywraca się na opak: porządek, wyjaśnienie, realizm, racjonalność stają się panowaniem, podporządkowywaniem, środkami władzy — są to *phallacies*, produkty „fallogocentryzmu”.<sup>20</sup>

Z drugiej strony: cóż bardziej zawadzającego, ba — przerażającego, niż ów (prapoczątkowy?) chaos, na jaki „człowiek” niegdyś został wydany, w jakim się nagle znalazł? Stan nierozróżnienia zagraża życiu; rozróżnienia muszą być zgodne z rzeczywistością, zgodne

<sup>19</sup> Por. J. Derrida, *passim* — w książkach przywoływanych wyżej i niżej.

<sup>20</sup> Por. J. Culler, *op. cit.*, s. 66 i następne.

z naturą, właśnie: „słuszne”. Grę różnic trzeba usta(bi)li(zowa)ć; punkty stale trzeba ustanowić i narzucić, ba — trzeba wierzyć, że są „naturalne/niepodważalne/dane od Boga/ewidencje/oczywiste/odkryte (a nie na przykład: wymyślone)...”

A więc porządek tworzą zakazy i nakazy oraz opowieści o stworzeniu świata, mity. Jak również: religie, filozofie, ideologie, normy prawne i regulaminy etc. Aby porządki te były uzasadnione, muszą mieć jakąś ostateczną podstawę, „centrum”<sup>21</sup>, ośrodek, który jest stały, ważny i substancjalny, i wskutek tego nie podlega grze różnic. Ośrodek nie może być określony przez coś innego, czyli dyferencyjnie, lecz odwrotnie: z niego musi dać się wywieść — po porządku — wszystko inne. wyliczenie Derridy można zatem odczytać jako krótki kurs (naszej) historii religii i filozofii: „bogowie (wyprofilowani dyferencyjnie według właściwości i kompetencji), bóg, idea, przasada, substancja, byt, logos, prawda, świadomość, natura podmiot...”, a można spokojnie ciągnąć dalej: „klasa, praca, wymiana, psyche”... etc. etc.

Ale historia ujawnia dwie sprawy: jeżeli ośrodki są różne w różnych kulturach jednej epoki, to historycznie zmieniają się (?) także w obrębie tej samej kultury (która wobec tego nie jest już „tą samą” kulturą), a wraz z nimi zmieniają się także całe porządki, stałe strukturalne. Z perspektywy jakiegoś Boga (*the god's eye view*<sup>22</sup>) ukazują się wówczas takie, jakie są: niestałe i wymienne, okazują się tylko nazwami i punktami zbiegu struktur, b e z znaczenia, gdyż nie mogą podlegać profilowaniu. Mamy tu: bezradność wszelkiego, także „teo-logicznego” języka wobec Boga, niezdolność powiedzenia, co znaczy „sens”, „prawdziwy byt”, albo wyobrażenia sobie — jeśli nie chcemy popaść w odrażający kicz — czym jest „spełnione życie, wieczna błogość”. Na tym zasadza się zakaz czynienia sobie obrazu, od Mojżesza po Adorna. „Nagie nazwy”, *dei absconditi*. To, co okazuje się ostatecznie (!) niewyraźne, niewyobraźne, a jednak wciąż otrzymuje inne, nowe nazwy, mogłoby oczom

<sup>21</sup> Derrida, (zob. przyp. 19), s. 422 i następne.

<sup>22</sup> Tak amerykański filozof i krytyk dekonstrukcji Bernd Magnus, *The End of „The End of Philosophy”*, w: *Hermeneutics and Deconstructions*, red. H. J. Siwerman, Don Ide, New York s. 2—10, zvl. s. 2 i następne (tamże obszerniejsza bibliografia — „Na barkach olbrzymów”).

niewierzących jawić się jako fantazmat, czysta konwencja, a przeto coś dowolnego i obojętnego. Czy tak jest?

Po pierwsze: nie. Ośrodki te są konieczne, jeżeli możliwe mają być kultura, społeczeństwo, ład, prawo, prawda... A także: współzycie, zrozumienie, komunikacja. Konsekwencją byłaby nie utopia i radosna anarchia, ale atopia, anomia, afazja, regres do *tremendum*.<sup>23</sup> Ośrodki są niezbędne do życia.

Po drugie: tak. Ośrodki są historycznie zmienne, są warunkami możliwości o r a z konsekwencjami wprowadzenia niezbędnych, ale zarazem nigdy nie dających się ostatecznie uzasadnić konstrukcji. Są skutkami woli uporządkowania świata i poddania go sobie, „uchwycenia” go; zatem produktami „woli wiedzy, prawdy”, a więc „mocy”. Owa wola mocy wpisuje się w konstrukcje porządku. Muszą one być ograniczone, zdefiniowane, a zatem także wykluczać to, co inne („złe”, „obłąd”), a więc tych, którzy są inni (dzikusów, barbarzyńców, niewiernych, heretyków, czarownice, wariatów). Narzędzia używane dla ustanowienia „słusznych” konstrukcji mówią co nieco o impecie, który je stworzył: miecz, tortury, krucjata, inkwizycja; ale również: logika (której m u s i s z się podporządkować), racjonalność, wyjaśnienie i uzasadnienie, prawda — a jak nie, to kanapa psychoanalizy, klinika.

To zaś, co wywołuje ów impet, co napędza wolę wiedzy i mocy, to trudy przeżycia, praludzki niedostatek (pełnego) bytu, sensu, integralności i trwania.

### Zawężenia — i rozproszenie

Tu zbiegają się obie linie: filogenetyczna linia historii ośrodków i ontogenetyczna linia historii małego, niedoskonałego i niekompletnego stworzenia, które swoją żądzę musi poddać brzemieniu w historię porządkowi, jeśli nie chce pozostać infantem. Ponieważ nie jest bogiem, i nie może powiedzieć o sobie: „Jam jest, który jest”, ponieważ nie jest logosem, bytem, sensem, ani też logos, byt i sens mu nie przysługują, ponieważ nigdy nie znajduje

---

<sup>23</sup> Por. Hans Blumenberg, *Arbeit am Mythos*, Frankfurt a/M. 1979, s. 33 *passim* i, krócej, tenże, *Wirklichkeitsbegriff und Wirkungspotential des Myths*, w: *Terror und Spiel*, red. M. Fuhrmann, München 1971, s. 11—66, tu s. 33.

się w centrum, musi wstąpić na drogę różnienia: jest „samym sobą” tylko w odróżnieniu od wszystkich innych. A porządki, których mu trzeba, są wprawdzie „rzeczywiste”<sup>24</sup> i skuteczne, ale są też zawsze konwencjami i namiastkami: wola panowania przechodzi w opanowanie, moja dzika żądza musi się porządnie, jak należy, artykułować. I znowu: nawet w unieruchomionej strukturze wartość określają relacje między elementami, to, co się nam uobecnia, odsyła gdzieś dalej, a zatem jest tylko sygnifikantem, nawet tu określonym przez przestrzenie dzielące... a porządek jest strukturą, tzn. — jeżeli i to określenie nie ma być tylko nagą nazwą — jest czymś przestrzennym, niczym ustanowione ześrodkowanie, kiedy płynność bezgranicznej *différance* zastyga w sieć kryształu. Sztywny porządek. Nigdy to, co jest do powiedzenia, nie może być powiedziane „na raz”. Ten (ta), kto chce się posługiwać porządkiem (tzn. musi się mu poddać), musi, cokolwiek chciał(a)by powiedzieć, zastąpić to coś sygnifikantami tej struktury i jej regułami wiązania („gramatyka”!) — przetłumaczyć na sygnifikanty i reguły. Załóżmy, że istniałoby coś takiego, jak nasza „własna i właściwa” myśl, która chce być wypowiedziana — ona również musiałaby zostać przetransponowana na szereg — wyprofilowanych przez konstytutywne luki — sygnifikantów; myśl ta zostaje natychmiast „rozszana” (albo też „rozsypana”) jak ziarna: *disseminatio*, uczasowione i uprzestrzennione w mowie i w piśmie. Myśl zostaje w ten sposób przesunięta nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie: *temporalisation*. W słowie *différance* „a” nie jest — jakżeby? — błędem, tylko ma swoje znaczenie: jest wskaźnikiem siły, która aktywnie rozróżnia, przestawia, odsuwa. Za naszymi plecami, między naszymi słowami.

## Temat II

Język, postaci języka, symbol to jak widać temat, a także punkt wyjścia i odniesienia poststrukturalizmu. Nie tylko w tym sensie, że również poststrukturalisci potrzebują i używają języka i pisma (posługują się nimi? muszą się im poddać?), aby „nam”, pozostałym, coś zakomunikować, zawiadomić nas o czymś,

<sup>24</sup> W sprawie „rzeczywistości symboli” por. J. Lacan. op. cit., s. 721.

co ich (i nas) porusza — tu także mamy do czynienia z pewnym brakiem, a sposób na to ma być właśnie taki, że nie mówi się, a przede wszystkim nie pisze się „porządnie”.

Niemożliwość zaprowadzenia porządku wpisana jest w sam język, który cechuje się otwartą strukturą nieograniczonych różnic. Język nie jest bytem ani ostateczną podstawą, jak również bytu ani ostatecznej podstawy nie posiada — nie jest to *organon*, środek, instrument, kod, ale zaiste *energeia*, pole napięć o nieskończenie zmiennych relacjach.

Ale porządki języka, zwłaszcza gramatyka, okazują się przepisami i normami, których opanowanie leży w naszym interesie o tyle, że wszelka deskrypcja grozi przeistoczeniem się w preskrypcję, wedle schematu: „Tak robią wszyscy / tak robi większość / tak robią ludzie światli”<sup>25</sup> — „Tak się (!) robi” — „Tak to jest” — „Tak musisz zrobić”, ponieważ „tak jest napisane”.

Język jest dziedziną, w którą wpisuje się pozytywnie wola i konieczność porządku, i odwrotnie, język tę wolę i konieczność porządku przenosi: w „regułach językowych”, w definicjach, w regułach „dyskursów”, w regułach określających, co daje się pomyśleć i powiedzieć — reguły te nie tylko są warunkami możliwości, ale także ograniczeniami: określają, co i jak można i wolno powiedzieć („wykluczenie nonsensu”, „wola wiedzy i prawdy”), co się ze sobą wiąże (np. kryminologia albo /i psychologia?), komu i kiedy wolno mówić („ograniczenie mówiącego podmiotu”), etc.<sup>26</sup>

Język i postaci języka („symbolizacje”) stają się jednak także furtką wiodącą do tego, co się „naprawdę” dzieje: poprzez psychoanalityczną „kurację mowy” dają dostęp nie tylko do „zapisów”, nie opartych na realnym doświadczeniu, lecz także do późniejszych „zapisów wstecznych”, tyjących również późniejszych „reprezentacji wyobrażonych” (Lacan „spontanicznie” za Freudem), rozumianych jako „sygnifikanty” fallusa i jego „utruty” (która wcale jeszcze nie była utratą). Dostęp zatem do owego braku całości, który — jakkolwiek nic nie było „całością” — jest przesłanką dla pożądania, które z kolei poszukuje swych pozornych, „imaginacyjnych” obrazów zewnętrznych oraz swych zastępczych ekspresji w sferze symbolicznej i może je

<sup>25</sup> Ten piękny szereg (climax? anticlimax?) skradziony jest Arystotelesowi, gdzie odnosi się do „prawdopodobieństwa”.

<sup>26</sup> „Procedury” dyskursu (w wyborze) wg Foucault (zob. przyp. 3).

znaleźć jedynie w drodze przestawiania, odsuwania i rozpraszania. Również „podświadomość ustrukturowana jest jak język”, jest już, zgodnie z zapisem wstecznym, „mową Innego” i jest owocem subwersji.<sup>27</sup>

Wszystkie reguły i porządki, które mają nam umożliwić i muszą nam narzucać przepisowe mówienie i komunikowanie, np. także „akty mowy” i ich „taksonomie”, są subwersjami tego, co nigdy nie było „własne i właściwe”<sup>28</sup>; subwersjami tego, co nigdy nie było „nie-opaczne”, „pełnego podmiotu”, takie są wszystkie obrazy, znaki, „wyrazy”, które podmiot rzekomo „sobie” znalazł; niewłaściwa jest wszelka mowa, ponieważ o tym, co mnie porusza, o „chaosie, o kotłach wrzących podniet” (Freud) mojej — otóż to — nieświadomości nie można i nie wolno mówić; wypaczona przez późniejsze obrazy i symbole zastępcze, które zastaje i które zatem nie są naśladowaniem, ale (mityczną) „antycypacją”<sup>29</sup> i zapisem wstecznym. Rzekome rozpoznawanie w Ozyrysie, Adonisie, Dionizosie i — owszem, także — Edypie staje się pierwszym aktem poznania. I — powiedzmy postfreudystycznie — wszystko to staje się rebusem. Jednakże każdy rebus po rozszyfrowaniu składa się w zdanie, w zapis — wejście w *différance*.

Wreszcie — język daje dostęp do „naszej” historii: teksty mityczne i literackie, religijne i filozoficzne, teoriopoznawcze i teoretyczno-naukowe, a nawet psychoanalityczne same okazują się tekstami „poetyckimi”, tj. zrobionymi, skonstruowanymi, w których wciąż na nowo (bo wciąż daremnie) dokonuje się prób znalezienia „ośrodką” i uporządkowania. Teksty te są dokumentami wysiłków zaprowadzenia porządku „w świecie”, przy czym — zwrotnie — uporządkowany zostaje lub ma zostać tylko język jako „tekst”. Teksty są, po pierwsze, dokumentami konieczności dyskursu, woli mowy i jej przyczyny, nieodwołalnego niedostatku sensu. Są konstrukcjami, które można dekonstruować.

Po drugie, te konstrukcje tekstowe nigdy nie są „stałe” ani „całe”. Tak jak nie umieją uobecnić tego, co ma je uzasadniać, swego

<sup>27</sup> Por. H. Lang, op. cit., s. 723.

<sup>28</sup> W sprawie sporu między Derridą a Searle'm por. J. R. Searle, *Reiterating the Differences: A Reply to Derrida*, w: „Glyph” 1977, s. 198—208; J. Derrida, *Limited Inc.*, suplement do „Glyph” 2 (1977).

<sup>29</sup> Hans Blumenberg, „*Nachahmung der Natur*”. *Zur Vorgeschichte des schöpferischen Menschen*, w: „Studium generale” 10 (1957), s. 266—283, tu s. 283.



ośrodka, tak też sam ich porządek rozbity jest przez to coś innego, o czym nie mówią; są podminowane już w płaszczyźnie swego porządku, który nigdy nie może być do końca zwarty i spójny. Wedle „logiki suplementu” każdy tekst może mieć swój ciąg dalszy, ponieważ coś dołączyć można nie tylko na „końcu” — zawsze pozornym — ale w każdym miejscu, nie mówiąc już o możliwości pisania tekstów o tekstach. I dalej, ich porządek podminowany jest przez nieuniknione włączanie logik sprzecznych z własną logiką, por. hasło „nieczytelność”: np. kiedy dla uzasadnienia logosu trzeba odwołać się do mitu (jak u Platona), np. kiedy pozornie jasny i logiczny język filozofii w swej „terminologii” usiany jest „wyrażeniami niewłaściwymi” (por. metaforyka w „teorii, pojęciach, metodzie, wyjaśnianiu” etc.), wreszcie np. wtedy, gdy teksty postępują wbrew temu, co głoszą (w formie najkrótszej: „Każde zdanie ogólne jest od złego”). Spójność, logika, czytelność nie są efektami pisania albo tego, co napisano, lecz efektami czytania naiwnego, kompensującego puste miejsca, korygującego sprzeczności — „nadczytania”. Zaiste, dość powodów do dekonstrukcji.

### Fuga (— s chrustas)

Metoda poststrukturalizmu — dekonstrukcja — nie jest bynajmniej tajemnicza, choć, owszem, łatwości prawowiernych może wprawić w popłoch. Jest to przede wszystkim ni mniej ni więcej, tylko odwrócenie owego naiwnego czytania, odżegnanie się od woli czytelności, całości i sensowności, od „pasji rozumienia”<sup>30</sup>. Jest to też, skoro „szkoły zwątpienia”<sup>31</sup>, marksizm i psychoanaliza, same stały się wątpliwe, odżegnanie się od wszelkiej nauki „pozytywnej”, od — choćby „krytycznego” — kontynuowania konstrukcji teologicznych i filozoficznych: *clôture* owej epoki. Ostateczna jej krytyka możliwa byłaby tylko z punktu położonego poza, na zewnątrz języka, struktur, dyskursów, o r a z ponad zasadniczym niedostatkiem ludzkim, a więc poza naszym światem: jako „u-topia” w ścisłym sensie. *Kein Ort. Nirgends.*<sup>32</sup>

<sup>30</sup> Jochen Hörisch, *Die Wut des Verstehens. Zur Kritik der Hermeneutik*, Frankfurt a/M 1988.

<sup>31</sup> Paul Ricoeur, *Die Interpretation. Ein Versuch über Freud*, Frankfurt a/M 1969, s. 45 i następn.

<sup>32</sup> Tak brzmi tytuł książki Christy Wolf o Kleiście i Karolinie von Günderode.

Pozostaje: b u r z e n i e, pokazywanie, z jak heterogenicznej i heterologicznej materii utkane są systemy i teksty; czytanie p o d p r ą d, które określa niespójne dyskursy, stylistyki i logiki tak samo jak dziury, przemilczenia, to co inne wobec systemów i tekstów. Ale to nie wystarcza, gdyż tak ujęta „wielorakość” materii mogłaby być (i bywała) kwalifikowana jako „bogactwo”, jako łączenie sprzeczności w imię „wyższego porządku i prawdy”. Toteż przełamać — ale nie zastąpić czymś innym — trzeba również z a s a d y porządku systemów i tekstów: ich hierarchie. Z punktu u-topii niemożliwej krytyki może to nastąpić tylko w drodze w y w r ó c e n i a tych właśnie hierarchii. Należy zatem czytać to, co na marginesach, zamiast tego, co w środku, należy przewartościować wartości, np. „męski/żeński, racjonalny/irracjonalny, dosłowny/przesadzony” etc.; przy lekturze należy uwzględnić znaczenia uboczne (które mogą być „właściwsze” od właściwych); należy „przemieszczać” i „odwracać” przez (demaskujące) powtórzenia, cytowanie (zniekształcające, bo osadzające w innym kontekście), karykaturę, parodię. Pierwopis tekstu należy „aktywnie ignorować”.<sup>33</sup> Skutkiem ma być zaś nie jakiś nowy porządek, ale możliwość rozpoznania w tekstach wykonstruowanego, wymuszonego porządku oraz właściwy im nieporządek, ugruntowany w ich a u t o r e f e r e n c j i, uniemożliwiającej wszelkie przyswojenie i będącej źródłem wszelkich paradoksów (por. aneks).

Dekonstrukcja staje się zatem pewnego rodzaju m e t a j ę z y k i e m, nie dlatego, że mówi tylko o innych tekstach, ale dlatego, że prezentuje ich powagę jako zabawę i przez zniekształcenie pozwala ją rozpoznać. Rezultatem może być tylko demaskacja: „poetyckie gry cieni” wokół pustych ośrodków.

Odpowiada temu „styl” poststrukturalistyczny — na tym się zasadza jego pożądana i zarazem kwitowana wzgardą „niejasność”. Nie p o w i n n o stąd wynikać nic „porządnego”, chodzi tylko o to, by ukazać zabawę jako zabawę (i aż do granic „obłądu”).

### Kontrapunkt

Z perspektywy dekonstrukcji mogłoby się wydawać, że „poststrukturalizm” to tylko określenie pewnego kierunku

<sup>33</sup> John Brenkman, *Narcissus in the Text*, „Georgia Review” 30 (1976), s. 293—327, tu s. 310.

ku postępowania, jednakże jego przedstawiciele wzbraniają się udzielić „pozytywnej” odpowiedzi na pytanie, dokąd miałyby ono prowadzić.<sup>34</sup> Że pod wpływem poststrukturalizmu, który wszak stał się faktem, oraz dekonstrukcji „coś” się zmieni i musi zmienić — o tym nie tylko się nie powątpiewa, ale wręcz się tego oczekuje. Czy zatem mimo wszystko „zasada nadziei” i „teleologia”? A zakaz czynienia sobie wizerunku?

Poststrukturalizm wydał owoce — i owoce te są problematyczne: wzbudzają obawy i pobudzają do myślenia.

To, co tu wywiedziono (pozostawiając — jakżeby inaczej— niezliczone luki i miejsca niedookreślone), nie jest z pewnością samo w sobie „neutralnym” opisem wyzwania, któremu na imię „poststrukturalizm”. Ma to być dekonstrukcja w odwrotnym sensie: systematyzująca parodia tego, co rzekomo jest niesystematyczne i nie daje się systematyzować. M i a ł o się przy tym okazać, że „poststrukturalizm” jest wszystkim, tylko nie nie-pozycją. Poststrukturalizm mianowicie umie znakomicie przechytrzać własne reguły.

P r z e d e w s z y s t k i m jednak jest n e g a c j ą, nie tylko w sensie wspomnianych aktów odżegnowczych, ale także w sensie „logicznym”: negacją b i e r n ą o tyle, że nie utrzymuje, z przekonaniem właściwym zajmowaniu jakiegoś stanowiska, iż: „nie ma Boga /Sensu/Logosu...”. Podstawowa formuła brzmi raczej: „Nie utrzymuje się (a także i nie kwestionuje), że istnieje X.” Afirmacja non-sensu jest czymś innym niż negacja sensu.

Poststrukturalizm można by zatem zaliczyć do kierunków „negatywnych”, takich jak agnostycyzm, sceptycyzm, ironia (zwłaszcza wczesnoromantyczna). Jest to jednak tylko pozór, i to podwójny.

Po pierwsze: mówienie o tekstach innych ludzi i pozycjebiorców oraz demaskowanie tych tekstów przedstawia się jako metajęzykowa, metastrukturalna gra. O „świecie” nie ma się do powiedzenia nic (nowego, pozytywnego). Mimo to negacja przybiera charakter a k t y w n y. Albowiem z wciąż podejmowanych prób ustalenia centrum, ich wielości i nieskończoności, wnioskuje się gładko, że owe centra to tylko warunki oraz punkty zbiegu konstrukcji, w dodatku puste; że przeto są one dowolne, a przeto w ogóle ich „nie ma”. A więc jednak: „Nie istnieje...”

<sup>34</sup> Por. J. Derrida, *The Conflict of Faculties*, w: *Language of Knowledge and of Inquiry*, red. H. Riffaterre, New York 1982. Por. też. J. Culler, s. 173.

Po drugie: coś, co samo nie jest językiem, musi poruszać, tzn. motywować i strukturyzować język i używanie języka. I oto już stwierdza się dwie istności: b r a k (onto- i filogenetyczny, stąd zaś „pożądanie” i „wola mocy”) oraz *différance*, siła na wskroś a k t y w n a. „Brak”, „pożądanie”, „*différance*” — słowa te nie są bynajmniej używane metajęzykowo, ale oznaczają (czy też mają oznaczać) rzeczywiste właściwości rzeczywistych, tworzących i cierpiących historię ludzi oraz rzeczywiste siły i moce w języku i poza nim. A więc jednak pozycje, od-dekonstruowane.

Wzbudzają obawy i pobudzają do myślenia zatem także konsekwencje i skutki poststrukturalizmu.

Jeżeli centra okazują się rzekomo puste i dowolne, można postąpić dwójako: albo z a m i l k n ą ć — co pociąga za sobą wszelako nader ryzykowne konsekwencje dla własnej pozycji, także ekonomicznej, i dla innych, którzy ciągle tego jeszcze nie zauważyli, albo też g r a ć — co pociąga za sobą konsekwencje pod każdym względem nader radosne. Tylko radosne?

Tu raz jeszcze zwycięża pełną parą „dialektyka oświecenia”: jeżeli rzeczywiście jest wszystko jedno, co skonstruowano, a zatem wszystko jedno, z czym demaskatorsko igramy, to byłoby przecież niestosownością ponosić w tej sprawie jakiegokolwiek ofiary (także i wyczuwalne, nie ograniczone tylko do sfery sygnifikantów). Cze- muż tedy, pisząc w najlepsze i w miarę możliwości jeszcze się tym bawiąc, n i e poddać się i n i e oddać potężnym porządkom i porządkującym potęgom? Dział ogłoszeń wyrażający „Ducha Czasów” — wyglansowanego na błysk — mógłby tu być pouczającym przykładem.<sup>35</sup>

W tym miejscu, raz jeszcze uciekając się do dekonstrukcji, należałoby „poststrukturalizm” obrócić przeciwko niemu samemu, za pomocą cytowania wypadłych z obiegu „emancypatorów”, „teoretyków krytycznych” i „terapeutów (językowych)”, mają oni bowiem więcej wspólnego z poststrukturalizmem niż niejeden by przyznał. Wszak dekonstrukcja mogłaby (mimo wszystko) rozwinąć w pełni oświeceniowo-emancypacyjny potencjał:

— przeciwko naszemu „zatracaniu się w języku” (Gadamer<sup>36</sup>), które

<sup>35</sup> Joseph von Westphalen, *Hasso von Braunfels*. „Frankfurter Rundschau” z 9 I 1988 r., s. 6 — *ście furioso* w krytyce ducha czasów.

<sup>36</sup> Hans-Georg Gadamer, *Text und Interpretation*, w: Forget (opr.) 1984 (zob. przyp. 3), s. 24—55, tu s. 37.

powoduje, że sądzimy, iż mówimy (piszemy, czytamy lub widzimy) „coś rzeczywistego” albo „o czymś rzeczywistym”, gdy tymczasem bez wątpienia poruszamy jedynie sygnifikanty, których porządek nigdy nie jest naszym porządkiem;

— przeciwko „wielkim słowom”, ideologiom i wszystkiemu, co „naturalne i oczywiste” — są to bowiem również konstrukcje interesowne (zainteresowane mocą), podobnie jak to, czego się nas uczy jako rzeczy „niezbędnych, ważnych, prawdziwych, koniecznych...”. „Wyobcowanie” (Brecht) ciągle jest pilnie potrzebne;

— przeciwko „czarowaniu naszego rozsądku środkami naszego języka”, co próbował już leczyć Wittgenstein<sup>37</sup>, oraz przeciwko estetycznemu czarowaniu sztuki, poezji i poetów, wzorów i prawników, których wielkość, integralność i piękno są pozorem. Obfitość „imaginacji”;

— ku poznaniu tego, co w „nasz” język i „nasze” użytkowanie języka wpisuje społeczeństwo i historia, „(fal)logocentryzm” i „wola mocy”, i to grubo ponad miarę (komunikacyjnej) konieczności...

Gry językowe? — Chodzi wciąż jeszcze o to, co (realnie!) konieczne dla odwrócenia nieszczęścia, czego wyliczać nie ma potrzeby, czego jednak nie da się osiągnąć samą tylko grą sygnifikantów. Poststrukturalizm należałoby post-poststrukturalistycznie ocalić przed niektórymi jego przedstawicielami i zwolennikami. Albowiem nie wszystko (jeszcze) mamy za sobą.

### Final(?)

#### Aneks: O terapii gry / przez grę. Gdzie mogłaby zacząć się dekonstrukcja

- Bądź spontaniczny!
- Nie będziesz mi zawsze posłuszny!
- Każde zdanie ogólne jest od złego. (Goethe)
- Nic nie jest oczywiste. (Weimar)
- Nie myślę o Schillerze.

---

<sup>37</sup> Ludwig Wittgenstein, *Philosophische Untersuchungen*, par. 109.  
 „Musí niejako odrzucić drabinę, po której był się wspiął.”  
 (Eco/Wittgenstein, *Tractatus* 6.54)

- Nie chcę tu mówić o...
- Nikt nie musi musieć. (Lessing)
- Ja jako ja (i ja jako kto inny).
- Światło prawdy przeniknie wszystkie mgły retoryczne, a przede wszystkim zdemaskuje obrazowe przenośnie jako błędy.
- Mogę być tylko szczęśliwy, że...
- Od sztuki wymaga się przede wszystkim, by była niewymuszona.
- My, artyści, żądamy ustawowo zagwarantowanej wolności sztuki.
- Jeżeli większość nie umie zrobić właściwego użytku z wolności, w razie potrzeby będzie do tego zmuszona przez państwo.
- Uwolnię cię, byś mnie kochał.
- Pozorny charakter sztuki jest warunkiem jej prawdy.
- Każda powieść jest zarazem krytyką powieści. (Culler)
- Każda lektura jest chybioną lekturą. (de Man, Bloom)
- Opowiadania dekonstruktywne są alegoriami swej nieczytelności. (de Man)
- To, co tekst oznacza, musi być wyprodukowane przez czytelnika. (Derrida)

**F r a n z K a f k a:** Pragnienie, by być Indianinem

Gdyby tak być Indianinem, od razu gotowym, i na galopującym rumaku, ukosem w powietrzu, wzdrygając się raz po raz nad drżącą ziemią, aż puszczą ostrogi, bo nie ma ostróg, aż się wysuną wodze, bo nie ma wodzy, i ledwie zdążywszy zobaczyć przed sobą gładko skoszoną łąkę, już bez końskiego karku i głowy.

*przełożyła Małgorzata Łukasiewicz*

---

*Od tłumacza: Przekład, mimo usilnych starań i najlepszej woli, nie oddaje wszystkich gier słownych, jakimi skrzy się tekst. Męki kalamburzysty są niczym w porównaniu z mękami tłumacza kalamburzysty.*

*Od redakcji: Oryginal ukazał się w piśmie „Sprachreport” nr 1 (1989). Jürgen Landwehr jest pracownikiem uniwersytetu w Mannheim, autorem pracy: Text und Fiktion. Zu einigen literaturwissenschaftlichen und kommunikationstheoretischen Grundbegriffen. München 1975 (obszerne fragmenty — „Pamiętnik Literacki” 1983 z. 4, tłum. A. Nasilowska).*